

PAWEŁ BEREŃSEWICZ

Wszystkie  
lajki Marczuca



Paweł Beręsewicz  
**Wszystkie lajki Marczuka**

© by Paweł Beręsewicz  
© by Wydawnictwo Literatura

Okładka: Elżbieta Chojna

Korekta: Lidia Kowalczyk,  
Joanna Pijewska, Aleksandra Różanek

Wydanie III

**ISBN 978-83-7672-577-2**

Wydawnictwo Literatura, Łódź 2018  
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41  
handlowy@wydawnictwoliteratura.pl  
tel. (42) 630-23-81  
[www.wydawnictwoliteratura.pl](http://www.wydawnictwoliteratura.pl)

## Rozdział pierwszy

Marczuk nie lubił Żydów. Konkretnie dwóch: Josska Wyszkowera i Aarona Goldberga. Wkurzali go. Josssek rzucił kiedyś w Marczuka zgniłą ulęgałką, a Aaron powiedział, że Marczuk jest zbyt brzydki, żeby jakaś dziewczyna chciała się z nim całować. Ale Marczuk też lubił Żydów. Dokładnie trzech: Heńka, Dawida i Berka. Szczególnie tego ostatniego, odkąd wyjaśnili sobie pięściami wszystkie nieporozumienia, a potem z powagą uściśnieli dłonie. Co do pozostałych Żydów – Marczuk nie miał wyrobionego zdania. Chyba więc to nie sympatia, a zwykły ludzki odruch sprawił, że ten niewysoki, jasnowłosy chłopak z Choszczówki został bohaterem.

Dom Marczuków stał w miejscu, w którym teraz znajduje się porośnięta krzakami pusta działka, tuż obok poczty na ulicy Kłosowej. Budynek spłonął pod sam ko-

niec wojny, osmalone ruiny rozebrano, a cegieł użyto do odbudowy którejs z staromiejskich kamienic.

Marczuk nie urodził się w Choszczówce. Kiedy jego rodzina sprowadziła się pod Warszawę w tysiąc dziewięćset dwudziestym szóstym albo dwudziestym siódmym roku, chłopiec był już na świecie. Dokładnej daty jego urodzin nie sposób ustalić, bo księgi parafialne w rodzinnej miejscowości gdzieś na Wileńszczyźnie zostały zniszczone we wrześniu 1939 roku. W każdym razie prawie całe dzieciństwo przyszłego bohatera, cała jego młodość, a więc w zasadzie całe życie związane było z tą cichą podmiejską osadą, którą miała kiedyś wchłonąć rozrastająca się Warszawa. To stamtąd przez kilka lat dreptał codziennie trzy kilometry do szkoły powszechnej w Białolece Dworskiej. To tam każdego ranka w ostatnim roku przed wojną wsiadał na rower i pedałowal do szosy modlińskiej, by w Henrykowie – często jeszcze przed świtem – wskoczyć do wąskotorowej ciuchci i przespać długą podróż do gimnazjum w Warszawie. To z tego niewielkiego robotniczego domku każdej niedzieli, wraz z rodzicami i babcią, chodził do ceglanego kościoła na płudowskich wydmach, a w największe święta zabierał się wozem sąsiadów na parafialną sumę w Tarchominie.

Następnego dnia po tym, jak Zenon Słowik, miejscowy kombinator o niespokojnych małych oczkach, złożył na Gestapo donos, że w jednym z choszczów-

kowskich domów ukrywa się żydowska rodzina, Marczuk od rana czuł, że zdarzy się coś ważnego. Kiedy na wpeł dobudzony pedałowal do Tarchomina, do tartaku, w którym znajomy ojca załatwił mu pracę, drogę przebiegł czarny kot. To znaczy nie do końca przebiegł. Zatrzymał się gdzieś w trzech czwartych, popatrzył zielonymi ślepiami na nadjeżdżającego rowerzystę i zawrócił. Trudno było powiedzieć, czy to się liczy, czy nie. Ale już przebita dętka w powrotnej drodze z całą pewnością nie wróżyła niczego dobrego. Marczuk dotoczył rower do domu, wprowadził do sieni, postawił do góry kołami i rozłożył zatłuszczoną szmatę, a na niej cały arsenał narzędzi.

– Zabieraj się z tym rowerem! Ruszyć się tu nie można! – pogoniła go matka, którą drażniły takie rzeczy jak rowerowy łańcuch na kuchennym stole, stara dętka w szafce z pościelą albo słoiczek smaru obok wiśniowych konfitur.

Wzdychając ciężko, Marczuk przeniósł warsztat pod rosnący przed domem krzak bzu i zaczął się mocować ze śrubą. Kiedy na bitej drodze prowadzącej od torów starej nadwiślańskiej kolei pojawiły się dwie ciemnozielone ciężarówki wyładowane niemieckimi żandarmami, trzymał właśnie w ręce odkręcone koło. Na wszelki wypadek cisnął je na trawę i ukrył się w bzach.

Wojskowe budy minęły furtkę Marczuków i zatrzymały się kilkadziesiąt metrów dalej, przed posesją

Zenona Słowika. Przerażony szmalcownik wybiegł na ganek i machał w stronę żandarmów w taki sposób, w jaki odpędza się krowy, które weszły w szkodę.

Sio! – zdawał się wołać. – Jedźcie dalej! Co będzie, jak ludzie zobaczą?

Oficer dowodzący akcją nie zamierzał przejmować się takimi drobiazgami.

– Gdzie Żydzi, Słowik? – szczechnął i mały człowieczek skurczył się jeszcze bardziej.

– Tam – powiedział chyba, ale najwięcej treści kryło się w jego gestach. Kazały jechać prosto, a potem skrócić w lewo, w stronę Jabłonny i Legionowa.

Mielnikowscy! – przemknęło Marczukowi przez głowę.

Posesja mecenasa Mielnikowskiego leżała tuż przy lesie. Otaczał ją wysoki płot, porośnięty gęstym żywopłotem, i tylko czasem przez uchyloną bramę na samym końcu długiego podjazdu zobaczyć można było okazały dom ze schodkami prowadzącymi na ganek. Toczyło się tam jakieś nieznanne, tajemnicze życie, o którym choszczówkowskie dzieciaki opowiadały sobie niestworzone historie.

Budy z żandarmami dojeżdżały już do zakrętu, ale musiały stanąć, bo wąską uliczkę tarasował wóz, na który dwóch barczystych chłopaków ładowało worki z jabłkami.

– Precz! – wrzasnął oficer przez okno szoferki, a kierowca jednej z ciężarówek nacisnął klakson.

Chłopcom przy wozie, którzy do tej pory uwijali się jak w ukropie, nagle przestało się spieszyć. Nie-

zwykle starannie odłożyli na ziemię niesione właśnie worki, bezradnie rozłożyli ręce na znak, że nie wiedzą, o co chodzi, podeszli bliżej, żeby lepiej usłyszeć, rozpromienili się i klepnęli w czoło, jakby ich wreszcie olśniło, po czym podnieśli worki z ziemi i z przepraszającymi minami ułożyli je na wozie.

– Szybciej! – ryknął Niemiec i zaczął niebezpiecznie majstrować przy pasie.

W chłopaków jakby znowu wstąpiła zagubiona gdzieś energia i ruchy ich stały się wyraźnie żwawsze. Jeden skoczył w stronę szopy, w której trzymali konia, a drugi na migi tłumaczył coś oficerowi, kłaniając się co chwilę dla większej jasności przekazu.

Marczuk nie czekał dłużej. Dobrze wyćwiczonym susem przesadził drewniany płotek i przemknął chyłkiem na drugą stronę ulicy. Przez uchyloną furtkę wpadł na podwórko sąsiadów z przeciwka, minął drewniany domek, przeciął niewielki ogródek z kilkoma jabłonkami i tajnymi chłopackimi ścieżkami pognął przez opłotki w stronę obrośniętej bluszczem willi mecenasa Mielnikowskiego. Zdyszany dopadł do furki i zerkając nerwowo w stronę, z której lada chwila miały nadjechać niemieckie ciężarówki, nacisnął guzik elektrycznego dzwonka. Wieczność upłynęła, zanim na żwirowej ścieżce prowadzącej od ganku usłyszał drobne pospieszne kroki.

– Kto tam? – zapytał cichy dziewczęcy głosik.

– Janek Marczuk! Z Kłosowej! Proszę otworzyć! Szybko! – powiedział chrapliwym szeptem.

Za furtką zapadła cisza, ale po chwili dał się słyszeć szcęk przekręcanego klucza i w uchylonych drzwiczkach pojawiła się wystraszona twarz młodej służącej.

– Jadą do państwa! – zawołał Marczuk i dość bezceremonialnie wepchnął się do środka. – Jadą! Dwie budy! Pełne żandarmów! – tłumaczył beładnie. – Słowik doniósł. Zaraz tu będą. Trzeba... trzeba coś zrobić!

– Co tam się dzieje, Kysiu? – od strony ganku dobiegł czyjś niski, spokojny głos. – Czego chce ten chłopiec?

– Panie mecenasie! – Marczuk podbiegł w stronę domu. – Jadą tu! Trzeba to ukryć!

– Co ukryć, chłopcze? – spytał pan Mielnikowski, zerkając niespokojnie w stronę ogrodowej altany.

– Nie wiem! To coś albo tego kogoś! Zaraz tu będą! Pytali Słowika! On im pokazał!

– O czym ty mówisz? – mecenas próbował zachować zimną krew. – To jakaś po...

W tym momencie usłyszeli wyraźny warkot ciężarówek, zbliżający się z każdą sekundą, a potem głośne walenie w furtkę.

– Otwierać! – szczerknął oficer.

Pobladły mecenas przez sekundę wpatrywał się w oczy Marczuka i to, co w nich zobaczył, musiało go chyba przekonać, bo z nieoczekiwaną energią skoczył w stronę altany.

– Musicie pójść z tym chłopcem! – zawołał i dopiero wtedy Marczuk zobaczył trzy postacie skulone za drewnianą barierką.



Cała trójka wstała niepewnie i trzy pary wystraszonych oczu obrzuciły nieznajomego nieufnym spojrzeniem. Dwie kilkuletnie dziewczynki kurczowo trzymały się spódnicy ciemnowłosej kobiety mniej więcej w wieku matki Marczuka.

– Tam jest jeszcze jedno wyjście, prosto do lasu! – pospiesznie szepnął mecenas i machnął ręką w głąb ogrodu. – Już idę! – krzyknął i ruszył w stronę furtki, za którą niemiecki żandarm zaczynał tracić cierpliwość.

Marczuk doskoczył do tylnego wyjścia, ostrożnie uchylił drzwiczki i wyrzwał za płot. Ruchem głowy przywołał kobietę i wszyscy czworo wyśliznęli się do lasu.

– O co chodzi, panowie? – usłyszeli jeszcze za sobą spokojny głos mecenasa Mielnikowskiego, otwierającego główną furtkę.

\* \* \*

Konecki przerwał opowieść, poprawił mikrofon zatknięty za prawym uchem i potoczył wzrokiem po słuchaczach. Na publicznej prezentacji obowiązkowych projektów, w wielkiej sali gimnastycznej choszczówkowskiego gimnazjum, zebrała się cała szkoła. Zwykle przy takich okazjach publiczność umiała sobie czas rozmowami, poszturchiwaniem lub przesyłaniem z komórki na komórkę najnowszych interne-

towych hitów. Tym razem było zupełnie cicho. Dwie setki młodych twarzy wpatrzyły się w Koneckiego, czekając na dalszy ciąg prezentacji, a on sam nawet nie usiłował ukryć triumfującej miny. Adam Zieliński, niewysoki brunet w okrągłych okularkach, siedzący w czwartym rzędzie tuż pod drabinkami, z niecierpliwości prawie wstrzymał oddech. Na jego wąskich ustach czaił się tajemniczy uśmiech, a piegowate policzki płonęły z podniecenia. Szczerze nie cierpiał Koneckiego, a zemsta miała cudowny smak.

## Rozdział drugi

Nie było chyba w Gimnazjum numer 12 osoby, która nie znałaby Rafała Koneckiego. Faliste blond włosy, wrodzona opalenizna, błękitne anielskie oczy, niedbale niedopięta koszula i kiel lamparta albo innego dzika spoczywający na torsie, który zapowiadał się na imponujący. Ogólnopolski konkurs matematyczny – Konecki. Najlepszy strzelec reprezentacji szkoły – Konecki. Ciacho Klas Drugich i Wiceciacho Szkoły w plebiscycie z okazji Dnia Chłopaka – Konecki. Słowem – koleś, którego chciałoby się nie znosić, ale trudno było znaleźć powód. Adam Zieliński w każdym razie przez długi czas nie umiał takiego powodu znaleźć. Jeszcze w przedszkolu razem z Rafałem i Anką Barską zjadali babki z piasku, a potem scementowaną w ten sposób przyjaźń przenieśli do podstawówki. Długo mówili o sobie „trzej muszkietierowie” – aż do

czasu, kiedy Anka uświadomiła sobie swoją kobiecość i wywalczyła zmianę nazwy najpierw na „dwaj muszkietierowie i muszkietierka”, a potem „muszkietierka i dwaj muszkietierowie”. Kiedy w szóstej klasie trwały zażarte dyskusje, które z topowych warszawskich gimnazjów jest najtopowsze i co należy zrobić, żeby się do niego dostać, trójka przyjaciół zawarła tajne porozumienie, na mocy którego każde miało plunąć ze wzdargą na wyścig szczurów i pobierać dalsze nauki w spokojnej podmiejskiej Choszczówce. Niezyczliwi szeptali, że Anka w sekrecie przed muszkietierami złożyła także papiery do jakiejś szkoły w centrum i tylko dlatego, że powinęła jej się noga, pierwszego września cała trójka zameldowała się w komplecie w Gimnazjum numer 12.

– To prawda, Anka, że startowałaś gdzie indziej? – spytał ją kiedyś Konecki, a ona jakoś dziwnie odwróciła wzrok i powiedziała:

– No weź się ogarnij, Rafał.

Najwyraźniej jednak cała sprawa pozostawiła po sobie nieprzyjemny smrodek nieufności i na solidnym dotąd gmachu muszkieterskiej przyjaźni pojawiły się rysy. To znaczy obaj muszkietierowie nadal trzymali się razem, natomiast muszkietierka zaczęła coraz bardziej dryfować w stronę dziewczynskiego towarzystwa i z coraz większym dystansem odnosić się do obu chłopaków. Nie bez znaczenia mógł być fakt, że mniej więcej w tym samym czasie kobiecość muszkietierki – i to kobiecość bardzo atrakcyjna – zaczęła również

docierać do świadomości muszkieterów. W głowie Adama i Rafała powoli pojawiała się myśl, czy przypadkiem, mówiąc obrazowo, zamiast zajadać babki z piasku we trójkę, nie byłoby przyjemniej raczyć się nimi z samą Anką. Z jednej strony można by podejrzewać, że takie myśli sprzyjały rywalizacji raczej niż przyjaźni, z drugiej jednak wzmacniały poczucie męskiej solidarności i w przewrotny sposób zbliżały. W czasie, kiedy nowe nieznanne wcześniej sprawy zaczynały zaprzętać umysł i burzyć duchową równowagę, długie szczere muszkieterskie rozmowy podtrzymywały na duchu i upewniały, że jest się na właściwym kursie, a jeżeli nawet nie, to przynajmniej nie jest się w tym osamotnionym. To właśnie od jednej z takich rozmów wszystko się zaczęło.

Siedzieli we dwóch na boisku za szkołą, oparli o pień starego dębu, i przyglądali się leniwie dziewczynom z 3c grającym w koszykówkę. Konecki przecesał dłonią wzburzoną falę jasnych włosów opadających mu na czoło i westchnął tęsknie:

– Ci to mają niezłe dziewczyny w tej trzeciej językowej, co Zielu? A jest ich tylko pięciu. Farciarze!

– E tam! – ziewnął Adam i nie wyglądało na to, żeby był w nastroju do wynurzeń.

Cały czas jednak patrzył raczej na dziewczyny niż na pierzaste obłoki.

– A co, nie podobają ci się? – zaczepnie mruknął Konecki. – Myślałby kto, że taki wybredny! Lepiej popatrz na tamtą z warkoczem. Zajrzałoby się pod tę różową koszulkę, co?